

Ręka jego podniosła się w jakimś ruchu niedokończonym, potem opadła bezwładnie...

— Dobrze — rzekł. — Spełniłem swój obowiązek, przestrzegając cię... Idź stąd stąd, mój ojczule! Błagam cię, jedź!... Jest to silniejsze odemnie! Ty nie wiesz, jaką jest Lucyja Weill... Pojutrze odchodzi statek niemiecki z Nowego Jorku... Zaklinam cię, odjedź nim... Nie można wiedzieć, co się stanie!...

Wypędzając od siebie Teddy, przybitego tem hańbiącym wyznaniem, spytałem go jeszcze:

— A wy? dokąd wy jedziecie?

Znowu uczynił jakiś beztłachy ruch rękami i nie odwracając się ku mnie, odrzekł:

— Nie wiem... Zapewne wybierzemy inny cel! Polidor dobrze był poinformowany.

Pojutrze miał odchodzić od Cherburga statek niemiecki. Zamiast czekać na statek transatlantyczny Towarzystwa francuskiego, to znaczy aż do końca tygodnia, wolałem zatelefonować natychmiast do Nowego Jorku, by zamówić sobie kajutę na *Demckerlandzie*. Chciałem jak najprędzej ujrzeć Ewelinę i Williama i załagodzić nieporozumienie, o jakim pisał mi mój szwagier Marcadian!... Chciałem jak najprędzej ten wstrętny i ohydny obraz, jaki przedstawiał sobą Teddy z Lucyją, zamienić na łagodny i pocieszający widok Eweliny z Williamem, siedzących nad kołyską dwojga swych bliźniąt...

Myśl o tych dwojga nowonarodzonych na ziemi francuskiej, Piotrze i Zuzannie, łagodziła zmore, jaką był dla mnie w Nowym Świecie Polidor wraz ze swą żoną.

Cały następny dzień zeszedł mi na przygotowania i wysyłaniu kufrów do Nowego Jorku... Polidor i Lucyja opuścili pośpiesznie Filadelfię, nie wyjawiając mi, dokąd jadą, czem zresztą wcale się nie interesowałem. Starłem się zatrzeć w swej pamięci scenę, jaką miałem przed swymi oczami, gdy ten nędznik stanął przedemną w postawie, w jakiej onego czasu zjawił się przed swą matką!... Usiłowałem wytlómaczyć sobie jego postępowanie i nie widzieć w nim zabójcy, jakim mimo wszystko był!... Nie! to niemożliwe, by wszystko, co do tej pory uczyniłem dla niego, było daremne!... Niemożliwe było, by moja awantura powróciła znowu do tego samego punktu, od którego się zaczęła, by przycynić się do tego miało pomieszenie umysłu tego nieszczęśliwego chłopca, lub nieroztropność mojej biednej córki, zbyt ufającej miłości męża!... Odemnie tylko zależać teraz będzie, bym nie dopuścił do nowych niebezpieczeństw i pokonał te, które już powstały.

Drugiego dnia po odjeździe Polidora, gdy już zamierzałem opuścić Filadelfię ekspresem o dziewiątej godzinie, zostałem nagle wezwany do telefonu. Widzę się jeszcze w kostymie podróżnym, jak stojąc przy swym biurku, wydaję ostatnie rozporządzenia swym sekretarzom!... Dzisiaj jeszcze, po upływie już czterech lat od tej strasznej chwili, brzęczy mi w uszach urywany dzwonek aparatu telefonicznego.

Schwyciłem za słuchawkę.

— Halo!... Jonatan Brentano?...

— Halo!... Tak, to ja we własnej osobie... Halo! to ja, obojście!... Może pan mówić!

Nie mogłem przypisać szmerom w aparacie drżenia głosu, jaki płynął do mnie z drugiego końca drutu telefonicznego... Głos ten był bardzo wzruszony... Zdołałem rozpoznać te słowa:

— To ja... John Fellow... sekretarz... Joego Duncana!...

— Halo! dobrze, słyszę!... Niech pan mówi!

— Master Joe...e... Duncan... został... zabity!...

— Co pan mówi?... Halo!... Nie rozumiem!...

— Halo!... Za... zabity!...

Wiesć ta uderzyła mnie w skronie jak potężne młoty stalowe w fabryce... Zdawało mi się, że głowa ma pękać... że oczy wyskakują ze swych orbit! Palce me zacisnęły się kurczowo koło słuchawki, tak, iż nie mogłem ich rozprostować... Drżącym, jak gdybym zduszonym głosem, powtarzałem bezmyślnie...

— Za... zabity!... kiedy!... Przez kogo?... Jak?...

Halo!... Niech pan odpowiada!... Słucham pana!... Przez kogo?... Przez kogo?...

Odczuwałem doskonale wahanie się Johna Fellowa. Drżenie głosu w telefonie wzmogło się jeszcze bardziej...

— Je...den... cudzoziemiec!... Potrzebna! obecność pańska!... Niech pan jedzie... Zaraz... pierwszym kurierem.

— Fellow! proszę mówić, kto zabił!... Krzychałem ze wszystkich sił do telefonu gniewnym głosem!...

Sekretarz wahał się jeszcze i odpowiedź jego dobiegła mnie bardzo niewyraźnie:

— Pewien młody człowiek... którego pan zna dobrze.

— Jak się nazywa?

— ...Ja... nie wiem, master Brentano... Ja... ja nie mogę!...

Wyprowadzony z ciepłoty zakląłem:

— Ach, podły Teddy... to Teddy!...

...Komunikacja została przerwana.

Wstrząsany konwulsyjnym drżeniem, musiałem



Musisz jechać natychmiast... w przeciwnym razie nie odpowiadam za nic.

wyglądać strasznie, gdyż sekretarze moi zaniepokojili się, podnosząc głowy od maszyn do pisania:

— Co panu jest?

Schwyciłem swą torbę z najważniejszymi papierami i bez jednego słowa, z zębami zaciśniętymi z bezsilnej wściekłości, wybiegłem jak szalony z domu i wpadłem na dworzec w chwili, gdy wjeżdżał kurier. Naprawdę starałbym się przypomnieć sobie wrażenia, jakie mną miotaly przez cały przeciąg długiej się nieskończonej jazdy z Filadelfii do Nowego Jorku!... Przytomną była w mej głowie jedna tylko myśl, jedna jedyna i jak rozpalonem żelazem piekła mi głowę: Polidor zamordował Joego Duncana!...

Kiedy? Jak?... Biedny John Fellow nie miał odwagi wyznać mi tego!... Zresztą ja jeden tylko zapewne mogłem znać pobudki tej zbrodni, gdyż zbrodniarz zdradził się przedemną temi tajemniczymi słowami: „Wyberzemy inny cel!...“ Czy został już aresztowany? Czy współniczą jego Lucyja Weill została również aresztowana? Wszystko to były tylko zapytania bez odpowiedzi, ponieważ nie miałem tyle przytomności umysłu, by dowiedzieć się tego od Johna Fellowa!...

Gdy przybyłem do Nowego Jorku, John Fellow, do którego telegrafowałem z jednej z poprzednich

stacyi, czekał na mnie na dworcu... Skłonił mi się uniżenie i rzekł bezdusznym głosem:

— Ach, master Brentano!... To niepojęte!...

Byłem jak szalony!... Nie przyszło mi nawet na myśl zapytać go o nowe szczegóły... Samochód, który pędził całą siłą, wioził nas do pałacu na 34 avenue. Za nami jechał drugi samochód, który zatrzymał się równocześnie z naszym; wysiadło z niego dwóch panów, którzy przyglądaniem się mi zwrócili całą uwagę w sypialnym wagonie. Zauważyłem zaraz, choć nie przykładałem do tego żadnego znaczenia, iż zamienili oni porozumiewawcze spojrzenie z sekretarzem.

Przy zwłokach milionera wystawionych na widok w wielkiej sali, zamienionej na wspaniałą, gorejącą tysiącami świec kaplicę, zebranych już było kilka osób, należących prawdopodobnie do policyi... Przy przejściu mem usuwali mi się z wielką uprzejmością, którą przypisywałem poważaniu, jaką musieli mieć dla współnika i przyjaciela króla papierowego. Grobowe milczenie panowało w sali i widocznym było, jak ci ludzie porozumiewali się spojrzeniem, patrząc na malujący się na mej twarzy ból i przerażenie. Joe i po śmierci zachował na swym obliczu wyraz powagi i władzy, który wywarł na mnie wielkie wrażenie... Zgiąłem kolano i klękając przy nim, ucałowałem nabożnie jego bezwładną rękę.

Prokurator bacznie na wszystko uważnie, zbliżył się do mnie i rzekł:

— Nie wiele cierpiał. Padł od razu rażony kulą w samo serce, gdy siedział przy swym biurku, jak generał na polu walki!... Zabito go z jego własnego rewolweru, aby wzbudzić przypuszczenia samobójstwa!

— Ach! — szepnąłem drżącym głosem — ...zabójca został już aresztowany?

— Zabójca!... domniemany... działali tu bowiem i współnicy?

— I współniczka?

— Dlaczego pan mówi współniczka? — zapytał prokurator, cofając się o krok w tył...

Potem biorąc mnie poufale pod rękę, dodał:

— Master Jonatan Brentano!... ja powiedziałem współnicy... Niech pan nie trwoży się i nie tłumaczy sobie źle mych słów!... Pański syn adoptowany, Teddy i żona jego, urodzona Lucyja Weill są już obecnie pod kluczem, sędzia jednak śledczy nie zadowolona się tem!...

— Teddy i Lucyja! — szeptałem przybity — ...! pan jest pewny, że to Teddy dopuścił się tej przerażającej zbrodni?

— Tak pewny, jak i pan master Brentano!

— Jak ja? — zdziwiłem się czyniąc przeczący ruch ręką.

— Pan jest bardziej o tem przekonany, niż my, szanowny obywatelu!

— Cóż to znowu! — zawołałem — co to ma znaczyć?

I rzucając okiem dokoła siebie, spostrzegłem, iż ludzie którzy mnie okrażali, stanowili obecnie zwarte koło i spoglądali na mnie wrogo, jak tych dwóch nieznajomych z pociągu...

— To, master Brentano... — rzekł zimno prokurator — iż pan właśnie jest głównym oskarżycielem swego adoptowanego syna Teddy, domniemanego zabójcy Joego Duncana.

— Ja! — przeraziłem się... — Czy pan stracił zmysły!

— ...I stał się pan nim dlatego, by oskarżając Teddy, oczyścić się...

— Ja, oczyszczać się?... od czego? — szepnąłem przestraszony.

— Od współnictwa w tem zabójstwie, co śledztwo jasnie panu wykaże, niż pan się spodziewał — zakończył oschłym tonem...

I z wielkim namaszczeniem dodał jeszcze słowa, które mnie zdumiały.

(Ciąg dalszy nastąpi).